

Katrina kapitalizmu

japońskiego

9 sierpnia 2014

Data publikacji: 17.04.2011

Trzęsienie ziemi i tsunami, które spadło na Japonię 10 marca 2011 r. pociągnęło za sobą skutki, które jeszcze długo ciążyc będą na tamtejszym społeczeństwie oraz najbliższych sąsiadach archipelagu. Tragiczny bilans obejmuje tysiące ofiar, straty szacowane na 309 mld dolarów, do których dodać trzeba ciągle nieopanowane skażenie radioaktywne, spowodowane przez uszkodzony reaktor w elektrowni Fukushima. A jednak to nie skala naturalnego kataklizmu przeraża najbardziej.

Fala, która zniszczyła prefekturę Myagi, zmyła fasadę japońskiego kapitalizmu. To co odsłoniła, budzi bardzo niemiłe skojarzenia. Pęka mocno już nadwyreżona od początku lat 1990. minionego stulecia bańka japońskiego cudu, a wraz z nią sypią się mity japońskiej dyscypliny, solidności, wiarygodności, zaufania, odpowiedzialności, dalekowzroczności.

Całkiem możliwe, że mamy do czynienia z japońskim odpowiednikiem huraganu Katrina. Wtedy, w 2005 r. w Nowym Orleanie zalany przez powódź, klęska żywiołowa ujawniła katastrofalny stan społeczeństwa i aparatu władzy w USA. Pokazała skalę zawłaszczania państwa przez partykularne interesy prywatnych kapitałów narzucających zasady ekonomicznego apartheidu w dostępie do praw i dóbr. Wiele wskazuje na to, że kondycja państwa i zarządzania strategicznymi sektorami infrastruktury ekonomicznej Japonii jest tylko nieco lepsza niż w USA epoki prezydenta Busha juniora. Natomiast przyczyny tego stanu rzeczy są analogiczne.

Pożary reaktora w elektrowni atomowej Fukushima odbiły się echem w wielu krajach, ożywiając debatę o zagrożeniach związanych z rozwojem energetyki jądrowej. Kłótnia o to czy

elektrownie jądrowe są bezpieczne czy nie, jakkolwiek przybierająca efektowne formy w wykonaniu uniwersyteckich profesorów fizyki, rozwija się obok zasadniczego problemu. Okoliczności skażenia w Fukushima pokazują, że wszelkie spory są czysto akademickie dopóki nie uwzględniają realnych warunków w jakich funkcjonuje energetyka atomowa.

Od pierwszych doniesień o skażeniu radioaktywnym, władze w Tokio, do spółki z firmą TEPCO zarządzającą sprywatyzowaną energetyką atomową kraju, robiły wszystko, by zbagatelizować zagrożenie. Strefa bezpieczeństwa ustanowiona pod presją opinii publicznej, przerażonej ewakuacją obcokrajowców, okazała się dwa razy za mała. Dziwna opieszałość, chaotyczność i nieudolność akcji ratunkowej stała się jasna, gdy na jaw wyszły kolosalne zaniedbania TEPCO. Nie byłyby one możliwe, gdyby nie wieloletnia niefrasobliwość państwowych instancji kontrolnych. Z dokumentów ujawnionych przez Wall Street Journal 31 marca wynika, że TEPCO oszczędzała na wszystkim, w tym na bezpieczeństwie. W Fukushima właściwie nie przewidziano ewentualności żadnych poważniejszych wypadków: nie dość, że falochron był zbyt niski i słaby, by chronić przed tsunami, to jeszcze w zatrudniającej setki pracowników elektrowni był tylko jeden zapasowy telefon satelitarny i jedna para noszy...

Nie opracowano też żadnych procedur wzywania pomocy spoza regionu. A wszystko to, pomimo że w latach 2005-2009 w Fukushima doszło do kilkunastu incydentów, co uczyniło z niej najbardziej niebezpieczną elektrownię atomową w Japonii. Ale w tym samym czasie interes kręcił się świetnie. Zarabiano nawet na konserwacji, którą powierzono niedoświadczonym, ale za to tanim podwykonawcom. Sprywatyzowane bezpieczeństwo japońskich elektrowni poświęcono na ołtarzu zysku. Wszystko z błogosławieństwem państwa.

Wedle WikiLeaks, ponad dwa lata temu Międzynarodowa Agencja ds. Atomistyki (IAEA) zarzuciła Japonii nieodpowiedniość procedur bezpieczeństwa w elektrowniach atomowych i

przestrzegała, że w razie trzęsienia ziemi mogą wystąpić poważne problemy. Nikogo w rządzie to jednak nie zainteresowało. W tym czasie ministerstwo gospodarki w Tokio było zaprzątnięte promocją sprzedaży technologii TEPCO do Wietnamu.

Czy w tej sytuacji nie należy uznać za prawdopodobne doniesień, że przez pierwsze dwa dni po wybuchu reaktora TEPCO nie miało czasu na bezpieczeństwo ludzi, bo właśnie ratowało drogi sprzęt?

Być może priorytety spółki będącej pupilką rządów w Tokio tłumaczą dlaczego w trzy tygodnie po tsunami na Honsiu wciąż koczowało ponad ćwierć miliona osób, brakowało prądu, a kolejne 130 tys. osób pozostawiono w strefie uznanej przez ONZ za skażoną radioaktywnie.

Na otarcie łez rząd japoński zapowiada nacjonalizację TEPCO. Zawsze to lepiej niż jak po Katrina, gdy Waszyngton postanowił wykorzystać okazję i sprywatyzować cały Nowy Orlean.

Cokolwiek się stanie, wydarzenia w Fukushima ukazały, że problem z energią atomową dotyczy nie tyle jej „czystości” czy ekologiczności lub ich braku, ile społecznej kontroli nad energetyką. Prawdziwą katastrofą okazały się neoliberalne powiązania władzy politycznej i biznesu, czyniące bezpieczeństwo i ekologię zakładnikami zysków. Po bańce spekulacyjnej handlu prawami do emisji CO2 i niszczycielskiej dla bezpieczeństwa żywnościowego Południa ekspansji biopaliw, to kolejne potwierdzenie, że rojenia o zielonym kapitalizmie napędzanym czystą energią są niebezpieczną mrzonką.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)